

## Sapere aude

Autor tekstu: **Stanisław Smuga-Otto**

**"Sapere aude"** (Listy Horacego 1, 2, 40) przejęte zostało przez Wielkiego Samotnika z Kaliningradu jako jego sentencja i przetłumaczone na: *"odważmy się myśleć"*. Rozum, choć u każdego odrobinę trochę inny, to rzeczywiście wspaniała maszynka, ale i niebezpieczna czasami. Miejmy więc odwagę, ale miejmy i... rozważę. Bo Horacy mówił nie tyle o „rozumie”, ile o „mądrości”. O odwadze posługiwania się MĄDROŚCIĄ.

Tej naszej wspaniałej maszynie rozumu trzeba jednak materiału do przemienienia, inaczej lata sobie na luzie i produkuje buble. Potrzebna więc WIEDZA. A wiedza, czyli również i zasób informacji, bywają czasami wielce fragmentaryczne. Też i dlatego, że zasób informacji bywa celowo ograniczany. Ta celowość jest domeną propagandy; dobrej, bo skutecznej propagandy. Goebbelsowskie uparte powtarzanie kłamstwa, aż stanie się prawdą też bywa skuteczne, ale ma krótkie nogi. Natomiast wpuszczenie do maszyny-rozumu informacji prawdziwych, ale tendencyjnie wyselekcjonowanych daje efekty długotrwałe i trudne do wyplenienia. Współcześni propagandyści o tym wiedzą i dlatego rzadko już stosują metodę goebbelsowską.

Kiedyś, w początkach ludowej Rzplitej, świetni stalinowscy propagandyści wymyślili „Notatnik Agitatora”. Ukazujące się regularnie piśmko, skierowane do świeżutko odzyskanych dla myślącego społeczeństwa analfabetów, uczące ich podstaw „filozofii” i bazujące na kantowskim czystym rozumie. I dające informacje — rzetelnie ocenzone, przefiltrowane i dobrane. Czas płynął, mijały lata i następne pokolenie dawnych odzyskanych analfabetów pokończyło uniwersytety, niektórzy nawet porobili naukowe tytuły. Doktory, profesory... Racjonalny rozum święcił swe tryumfy — „sapere aude”!

Minęły więc dekady, nadszedł czas generałów, czyli lata 80te. Jerzy Urban i jego zgraja powtarzali do znudzenia mantrę: o rozkradzonej przez Gierka i jego ekipę Polsce, o zmarnowanych kredytach, o samobójczym zadłużeniu, o — ale to już tylko szeptem i do ucha — poddańczości poprzedniej ekipy Moskalom.

Pozwalam sobie, choć wiem, że to ryzykowne w środowisku Racjonalistów, użyć metody empirystycznej. Czyli powołać własną, subiektywną empirię do próby dostarczenia Wam informacji, których nie znajdziecie ani w „Gazecie Wyborczej”, ani w „Polityce”, a nawet i w „Gazecie Polskiej”. W jednym z poprzednich moich wpisów na tym portalu obiecałem powrót do historii transformacji systemowej. I to do tej wczesnej, jeszcze z lat siedemdziesiątych. Do „przerwanej dekady” — jak nazwał ją gensek Gierek w swych wspomnieniach.

Więc co o tamtych czasach wiemy? Bałagan, panoszenie się „nomenklatury”, marnotrawstwo, negatywny dobór kadr kierowniczych — to wszystko, niestety, prawda. Po pierwsze, wiemy na pewno, że komuna Polskę rozkradała. Prawda to! Nomenklatura wykorzystywała wszelkie możliwe sposoby, a było ich wiele, by się wzbogacić, czyli by np. przyznać sobie za symboliczną złotówkę działkę i na niej postawić ze „zorganizowanych” materiałów daczę nad Zalewem Zegrzyńskim, w mazurskiej wiosce. By sobie, oczywiście na dostępny tylko dla wybrańców talon, kupić ładę i powędrować nią na urlop do czarnomorskiego Słonecznego Brzegu czy Złotych Piasków. Wokół wielkich inwestycji „drugiej Polski” powstawały obwarzanki osiedli domków-potworków jednorodzinnych, zbudowanych dla notabli z ukradzionych materiałów — to też prawda. Prawdą też jest, że po gierkowskiej „drugiej Polsce” hulała sobie dość bezkarnie esbecja, czyli unowocześniony klon dawnego UB. Wciąż istniał, choć mniej niż za dawnych czasów „szczelny”, nadzór Wielkiego Brata nad czystością ideologiczną i prowadzeniem się „bratniej republiki”. Była i cenzura, ta — którą oszukiwali na co dzień i za nos wodzili liczni nie-do-końca pokorni twórcy, mistrzowie pióra. Rodziła się opozycja, później „demokratyczną” zwana. Rządząca krajem ekipa „katowicka” kupowała licencje i zaciągała na Zachodzie kredyty na inwestycje, i to wreszcie ta „pętla kredytowa” zadusiła gospodarkę i kraj — na szczęście przyszli generałowie i poprzez heroiczny wybór „mniejszego zła” uratowali nas wszystkich przed ostateczną zapaścią i bratnią rzezią... Choć do dziś nie mamy pewności i spieramy się: „weszli by, czy nie weszli”. A potem już tylko „okrągly stół” — itd.

Gdy zbierze się razem te, skądinąd informacje prawdziwe i wrzuci do maszyny rozumu, obraz wychodzi klarowny.

A czy można by trochę inaczej? Gdyby tak przyjrzeć się bliżej pewnym zdarzeniom, poznać szczegóły, uzyskać więcej — też przecież prawdziwych — informacji...

Dla niezbyt dobrze, lub w ogóle nie pamiętających tamtych czasów w tamtym odległym kraju, warto chyba pokrótce przypomnieć, jak to wtedy było. Tym bardziej, że nawet pokolenie ciągle Racjonalista.pl

jeszcze coś tam pamiętające, powoli pamięć tę traci i zastępuje ją mitami. Ludzie, którzy wtedy masowo „budowali drugą Polskę”, którzy posłusznie chodzili do lokali wyborczych i wrzucali swe kartki „bez skreśleń” — teraz często podświadomie (?) odreagowują swą ówczesną polityczną bierność i zniekształcają obraz tamtych czasów. Często też, malując jednoznacznie ponury obraz tamtej rzeczywistości, nieświadomie zapewne powtarzają kłamstwa propagandy ekipy generałów, rządzących w stanie wojennym..

Zaczniemy więc nieco wcześniej — końcówka lat sześćdziesiątych. Społeczeństwo w stanie coraz to głębszego letargu, jakkolwiek nadzieja na poprawę losu na lepszy, swobodniejszy byt umierała powoli od pamiętnego Października 56. Epoka „Po prostu” skończyła się bezpowrotnie. Kraj pogrążał się w siermiężnej szarzyźnie. Nadziei na coś lepszego nie stało; ważne było, by starczyło na kupno kiełbasy, tzw. „zwyczajnej” i pół litra z „czerwoną kartką”. Ale i tego nieudolny reżym nie był w stanie zagwarantować. Bo i nawet tę szansę odebrał ludziom w grudniu 70, wprowadzając drastyczne podwyżki cen na „towary podstawowe” tuż przed Świętami.

No i wreszcie pękło. Wybrzeże — strajki w stoczniach — masakra. Ludowe Wojsko Polskie wali z karabinów do powracających do pracy stoczniowców.

Tak to, po gomułkowskiej gospodarczej bylejakości, po marcowych polowaniach na odszczepieńców od jedynie słusznej ideologii, na rewizjonistów, syjonistów; po szaleńczej obronie straconych szaińców, czyli masakrze stoczniowców dokonanej przez żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego dowodzonego przez młodego i świetnie się zapowiadającego generała w ciemnych okularach, nadeszła era „śląskich reformatorów”. Gierek, podczas swego pierwszego publicznego spotkania ze stoczniowcami zapytał: „pomożecie?”. I odpowiedziało mu gromkie: „pomożemy!”. Tak, to było dosyć niezwykle, ludzie naprawdę dosyć już mieli bylejakości; chcieli wierzyć i chcieli pomóc. A Gierek obiecał: „nigdy już polskie wojsko nie będzie strzelało do Polaków”. To przyrzeczenie wydaje nam się dziś banalne. Wtedy banalnym nie było. A co dziwniejsze, Gierek starał się dotrzymać słowa. Gdy w dziesięć lat później, 26go sierpnia 1980 bezpieka przedstawiła mu realny plan siłowego rozwiązania konfliktu w Gdańsku, a Moskwa niedwuznacznie pała do tego... ten krnąbrny gensek odmówił i wybrał negocjacje ze strajkującymi. Kosztowało go to natychmiastową utratę pozycji, wyeliminowanie z życia publicznego, kosztowało go kampanię oszczerstw i później internowanie. I aż dotąd, do chwili obecnej, uparte szkalowanie przez jego ówczesnych wrogów politycznych. Jego osobiście i członków jego ekipy; ich dokonania; powtarzane potem i dzisiaj jeszcze przez niczego nie rozumiejące tłumy. Opowieści o zaciągniętych przez Gierka zagranicznych kredytach, co to zadławiły Polskę, znane są dziś prawie każdemu polskiemu dziecku i powtarzane w setkach felietonów wspomnieniowych drukowanych często i w poważnych publikatorach.

A jak to ja zapamiętałem?...

Edward Gierek, syn robociarzy z Zagłębia (więc jednak nie Ślązak), jako dziecko znalazł się w Belgii a potem w północnej Francji. Został, tak jak jego ojciec i ojczym, górnikiem. Zaangażował się tam w ruch komunistyczny. Ale, gdy tak po latach i na chłodno analizuję jego sylwetkę, to widzę, że poglądy miał raczej socjaldemokratyczne.

Po powojennym powrocie do kraju (za działalność komunistyczną wydalony z Francji) zaangażował się w robocie partyjnej. Jako „głównodowodzący” na Śląsku zdobył sobie mir dobrego gospodarza, dbającego o rozwój regionu. Gdy obie liczące się wtedy w Peerelu partyjne frakcje, gomułkowskich „ortodoksów” i moczarskich „partyzantów” wykończyły się wzajemnie, pozostawiając po sobie gospodarczą ruinę, trupy zamordowanych stoczniowców i rzesze „syjonistycznych” uchodźców, Moskwa nie miała innego wyboru i zgodziła się na Gierka i jego ekipę. Nigdy jednak nie darzyła tego „towarzysza Edwarda” zaufaniem. Nie mówił po rosyjsku (ale biegle znał francuski) i nigdy nie posiadał obywatelstwa sowieckiego. Dodano mu więc do ekipy generała Jaruzelskiego, bo spełniał on oba te warunki i Ruscy mogli na niego liczyć, jak na Zawiszę.

Dekada lat siedemdziesiątych zwiastowała nowe podejście do krajowej ekonomii, częściowego — przynajmniej — otwarcia się na świat. Nie było to łatwe zadanie, bo kadry kierownicze wszystkich szczebli Peerelu przeżarte były korupcją, kumoterstwem, nieudolnością. Jedyным uświęconym tradycją językiem komunikowania się władzy ze społeczeństwem była komunistyczna nowomowa. Ludzie byli otepiali, zrezygnowani i zdemoralizowani. Panujący w PRLu system tzw. „realnego socjalizmu” nie sprzyjał wprowadzaniu mechanizmów rynkowych do gospodarki, a tzw. „dobór kadr”, czyli mechanizm awansu w strukturach państwowych (a innych przecież nie było) — nie preferował wartości pozytywnych i umiejętności zawodowych. A jednak... Gierek szukał ludzi do swej ekipy. „Przywiózł” więc ze sobą z Katowic kilku, którym ufał — czego nigdy nie wybaczyła mu warszawska nomenklatura. W Warszawie znalazł młodego i ambitnego inżyniera Wrzaszczyka, dyrektora żerańskiej Fabryki Samochodów Osobowych. Wrzaszczyk natychmiast został awansowany na dyrektora zjednoczenia — które miało zostać pierwszym

poletkiem doświadczalnym odbudowy i przebudowy gospodarki.

Pierwsza znacząca inicjatywa techniczno — przemysłowa, zakup i wdrożenie licencji na fiatowskiego „malucha” 126P, powiodła się nadspodziewanie dobrze. Zbudowano ogromną, nowoczesną montownię samochodów w Tychach. Zmodernizowano istniejącą już fabrykę w Bielsku — Białej, doinwestowano i zmodernizowano dziesiątki mniejszych zakładów i zakładzików rozsianych po kraju.

Powiecie: „tak, to prawda, ale... robiono to za zagraniczne kredyty”. Powiecie: „część z tych pożyczonych pieniędzy rozkradziono i zmarnowano”. To prawda. Ale prawdą też jest, że za lwią część tych pożyczonych pieniędzy zmodernizowano polski przemysł elektro — maszynowy. Że w ramach tej współpracy z firmami i instytucjami zachodnimi tysiące polskich inżynierów i techników po raz pierwszy miało szansę spotkać się z zachodnimi technologiami, wyjechać na Zachód. Ale, przede wszystkim prawdą do tej pory publicznie nie znaną jest, że kredyty inwestycyjne zaciągnięte na ten projekt w konsorcjach bankowych Zachodu zostały spłacone w ciągu następnych czterech (!) lat. I to nie tym słynnym wyfiedrowanym węglem, masłem czy polską szynką, ale zespołami do małego fiacika, produkowanymi w Polsce i przekazywanymi do Turynu w ramach zawartych umów kooperacyjnych.

A co z tego było dla nas, dla tych, co postanowili pomóc? Setki tysięcy fiatów 126P, naszych pierwszych w życiu samochodów. A za tym: budowa sieci nowych dróg, infrastruktury obsługującej przemysł i rozwój turystyki, powrót nadziei, częściowe, kontrolowane — ale jednak — otwarcie na świat.

Dla tych z Was, co to nie pamiętają lat czterdziestych, pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nie do zrozumienia jest to zachłyśnięcie się, ten naiwny optymizm sporej części polskiego społeczeństwa w latach siedemdziesiątych. Że pomimo braku demokracji, pomimo opresyjnej cenzury, panoszącej się tzw. nomenklatury partyjnej, terroru bezpieczeństwa — my, większość z nas — byliśmy jednak optymistami. Tak jakbyśmy zapomnieli, że tuż za Bugiem, na wschodzie, obserwuje nas bacznie i czujnie Wielki Brat. A Wielki Brat nie miał nic przeciwko uzyskiwaniu zachodnich technologii, ale niepokoiło go wielce wciąganie Polskiej gospodarki w zachodnią sferę. Niepokoiła go powszechna w Polsce fascynacja Zachodem. Nie ufał w wierność Gierka i jego ekipy. Nie mógł wszak pozwolić na „wypłynięcie bratniej, socjalistycznej polskiej republiki na Atlantyk”.

To dryfowanie kraju i społeczeństwa musiało być zatrzymane i odwrócone. Postanowił więc działać.

Po pierwszym udanym przedsięwzięciu „fiatowskim” ekipa postanowiła iść tą drogą dalej. Wynegocjowano i podpisano następną umowę licencyjno - kooperacyjną z brytyjskim konsorcjum Massey — Ferguson — Perkins na modernizację zakładów produkcji traktorów w Ursusie, fabryki silników wysokoprężnych w Andrychowie, odlewni i kuźni w Lublinie. Licencję sprzedali nam Anglicy za pieniądze od nich pożyczone. Umowa zawierała część tzw. kooperacyjną, przewidującą produkcję w Polsce całych zespołów do ciągników MF i następny ich eksport do zakładów macierzystych w Anglii — którym koszt licencji miał się spłacić. Postanowiono zastosować ten sam manewr, który z powodzeniem spłacił kilka lat wcześniej Fiata. Za Masseyem — Fergusonem poszły następne licencje: kineskopy telewizyjne w Piasecznie, PCV we Włocławku, fabryka autobusów w Jelczu od francuskiego Berliet'a, sterowania numeryczne do obrabiarek od szwedzkiego Saaba... Wreszcie, jeden z największych planowanych projektów, umowa z General Motors na produkcję (i — oczywiście — kooperację) samochodu dostawczego w Lublinie. Firmować ją miał brytyjski Vauxhall z Luton, ale cała technologia i zaplecze finansowe miały być amerykańskie. Tego już było zdecydowanie za wiele, tego już Wielki Brat postanowił nie tolerować dalej.

Akcję sabotażu (sic!) rozpoczęto na przełomie 1975/76. W kontrataku na kilku frontach wykorzystano i idealizm inwestycyjno — gospodarczy ekipy i naiwny patriotyzm intelektualno-artystycznej elity kraju. Wykorzystano też niespełnione ambicje „mocarowców”, którzy — choć odsunięci od głównego żłobu po klęsce lat 1968 — 70, nigdy nie utracili wpływu i kontaktów w Służbie Bezpieczeństwa i MSW. A generał Jaruzelski sprawował pełną kontrolę nad wojskiem — czyli tylko od Wielkiego Brata zależało, której z konkurujących frakcji udzieli się poparcia.

W styczniu 1976 roku, w kilkanaście miesięcy po zawarciu z Anglikami umowy licencyjno — kooperacyjnej i po praktycznym zakończeniu fazy projektowej, gdy listy zakupowe wyposażenia produkcyjnego nowego traktora Ursus były gotowe, a ustalenia kontraktowe z dostawcami z wielu krajów Zachodu dokonane — z Warszawy do Anglii przybyła delegacja wyposażona w najwyższe pełnomocnictwa. Delegaci zażądali tzw. „odmrożenia projektu” i jego generalnej rewizji, czyli zmian podstawowych. Bez względu na merytoryczny sens zmian — a miał on znaczyć inną skalę produkcji traktora, ale również i produkcję elementów w kuźniach i odlewniach, które z traktorem wiele

wspólnego nie miały - oznaczało to załamanie się harmonogramu realizacji inwestycji, przewidywany lawinowy wzrost kosztów, czyli poważne przekroczenie limitu ustalonych kredytów. Licencjodawca był zaszokowany, grupka polskich inżynierów — specjalistów od licencji akredytowana przy biurze MF w Coventry — Stoneleigh próbowała przekonywać, że takie zmiany w tej fazie grożą nieuchronną katastrofą projektu. Nadaremno...

W jakiś czas później dowiedzieli się, że prawie identyczny scenariusz wiodący do katastrofy innego projektu, licencji PCV — Włocławek, rozegrał się w tym samym czasie w siedzibie licencjodawcy w brytyjskim Manchester...

Zaawansowane rozmowy z brytyjskim oddziałem General Motors na temat budowy w Lublinie nowoczesnej, opartej na technologii amerykańskiej, fabryki samochodów dostawczych — załamały się. Był to rok 1976.

A co działo się w tym czasie w kraju?...

Inwestycje i kredyty są coraz to gorzej kontrolowane. Tysiące cwaniaków z dawnego i nowego „aparatu” stara się coś tam uszczknąć i dla siebie - niestety bardzo często z dobrym skutkiem. Wokół wielkich inwestycji powstają tzw. „złodziejówki”, czyli wianuszki osiedli domków mieszkalnych, zbudowanych ze „zorganizowanych” (czyt. ukradzionych) materiałów. Dla tych z wyższych kręgów nomenklatury buduje się tzw. dacze w nowopowstałych osiedlach nad jeziorami (vide: Zalew Zegrzyński pod Warszawą, Mazury...). Do dziś ci sędziwi „właściciele peerelu”, lub ich dobrze już na Zachodzie wykształcone potomstwo — tam mieszkają i cieszą się pogodną starością i dobrym sąsiedztwem.

Inwestycje zaczynają się ślimaczyć i kuleć.

Choć idealistycznie naiwny, i Gierek zdawał sobie jednak sprawę z powagi sytuacji i rosnącego zagrożenia. Program modernizacji gospodarki zaczął rozłazić się w rękach, czemu sprzyjał pogłębiający się bałagan i pleniące się złodziejstwo — Wrzaszczyk już wówczas był wicepremierem i szefem Komisji Planowania, więc coraz trudniej było mu odręcznie sterować inwestycjami. Ktoś (?) bardzo wysoko postawiony wpadł też na świetny pomysł, by przy okazji inwestycji licencyjnych finansowanych zachodnimi kredytami zwiększyć asortyment produkowanych komponentów motoryzacyjnych o części do radzieckich czołgów i innych militariów Układu Warszawskiego.

Tak i w taki właśnie sposób doszło do klęski gierkowskiego programu modernizacji gospodarki polskiej i włączenia jej — choć częściowego i nieśmiałego — w struktury gospodarcze Zachodu. Choć bardzo kosztowny był to manewr - ogromne zadłużenie kraju bez możliwości spłacenia długów produktami kooperacyjnymi, jak w przypadku Fiata — osiągnął on swoje główne cele: przerwanie dryfowania gospodarki polskiej „na Atlantyk”, kompromitację ekipy Gierka i chwilowe uspokojenie Wielkiego Brata.

Do dziś jednak ten polityczny manewr sabotażu gospodarczego pozostaje nieznanym społeczeństwu — a w zamian zastępuje się go mitami o „rozkradzonych przez ekipę Gierka kredytach”. O idiotyzmie decydentów wybierających współpracę z fiatem, zamiast, na przykład z volkswagenem lub renault, o „niezauważeniu” przez polskich inżynierów faktu, że angielski ferguson jest przecież calowy, a nie metryczny. I tym podobnymi bzdurami — wytworami partyjnej propagandy lat osiemdziesiątych.

Zanim ta kompromitacja i to ostateczne załamanie nastąpiły, dobrze zorientowany w sytuacji i nastrojach za wschodnią granicą premier Jaroszewicz ostrzegał szefa, że cierpliwości zostało już tam niewiele.

Ekipa rządząca podjęła więc polityczne kroki, które przeciwdziałać miały interwencji Moskwy. Niekoniecznie zaraz militarnej, wystarczyłaby przecież zmiana „pierwszego” i jego ludzi — a na to właśnie liczyli niektórzy — nazywano ich wtedy popularnie „betonami”. Zaproponowano więc, by ugłaskać radzieckich towarzyszy i uspokoić Moskwę poprzez — symboliczne - wprowadzenie do konstytucji PRL-u zapisu o dozgonnej wierności Sowietom. Wydawałoby się, że był to krok politycznie genialny: wszak nic nie kosztował, nikogo tak naprawdę nigdy dotąd nie interesowało, co też w tej „konstytucji” się znajduje — a któż ją w ogóle przedtem, oprócz Stalina nanoszącego poprawki, czytał i kogo to obchodziło, co sobie niegdyś Bierut w niej zapisał?

Nie doceniono jednak sprytu i determinacji „betonów”. Była to grupa „dzieci Moczara” — kontynuujących jego „projekt” zdobycia władzy. Najbardziej znani to Mirosław Milewski (wieloletni pracownik bezpieki od samych początków peerelu. Przeszedł wszystkie szczeble ubeckiej i partyjnej kariery. W latach 70. był wiceministrem i ministrem MSW. Był też sekretarzem KC partii i członkiem jej Biura Politycznego. Do połowy lat 80tych zaliczany był do bliskich współpracowników gen. Jaruzelskiego), i Tadeusz Grabski — były wojewoda poznański i działacz partyjny (w latach 70tych I sekretarz KW PZPR w Koninie, a od 1980 członek KC i Biura Politycznego partii — był jednym z czołowych przedstawicieli antyreformatorskiego skrzydła PZPR). Młodszym, ale również znanym

był Stefan Olszowski, dawny działacz Zrzeszenia Studentów Polskich — a od grudnia 1976 sekretarz KC PZPR odpowiedzialny za propagandę.

Używając — nie po raz pierwszy (i nie ostatni) zresztą — niepokornej i dumnej polskiej inteligencji i sfer twórczych, postanowili działać poprzez nią. Skorzystano z już istniejących przykładów, takich jak słynny „List 34-ch” w sprawie wolności słowa i ograniczeniu cenzury, czy też pozytywnie — krytycznego listu Karola Modzelewskiego do Edwarda Gierka. Tym razem postanowiono wykorzystać fakt proponowanych poprawek i zmian do konstytucji PRL-u

Projekt zmian w konstytucji godził wszak w narodową godność, wywołać więc mógł powszechne oburzenie i protesty intelektualistów. Ale tylko, gdyby ...o nim wiedzieli i zdawali sobie sprawę ze skali proponowanego „konstytucyjnego” poddaństwa Moskalom. Więc trzeba było im o tym powiedzieć. Zastosowano ten sam manewr, co niecałe dziesięć lat wcześniej. Wtedy — gdy opublikowano z odpowiednim wyprzedzeniem intencję władzy zdjęcia z afisza spektaklu dejmkowskich „Dziadów” w Narodowym, to studenci zaprotestowali, a zdrowe ideologicznie kadry robotnicze (czyt. ORMO) i „golędziniacy” poturbowali niepokornych. Teraz — podetknięto warszawskim twórcom i intelektualistom do przeczytania i podpisania „list protestacyjny” (którego przecież żaden z nich nie był autorem).

Bo autorem listu był cieszący się zasłużonym szacunkiem w kręgach „niepokornych” twórców i intelektualistów adwokat, Jan Olszewski. To on wpadł na pomysł napisania tego „listu otwartego” do władz PRL-u. Do współpracy w jego redagowaniu zaprosił Jacka Kuronia i Jakuba Karpińskiego.

W swojej, napisanej i wydanej kilkanaście lat później w Paryżu autobiograficznej książce: „Taternictwo Nizinne”, Jakub Karpiński nie przyznał się jednak do współautorstwa tego dokumentu. Wspominał jedynie skromnie, jednym zdaniem: „...pod koniec 1975 roku podpisałem jedno z oświadczeń w związku z przygotowywanymi zmianami w konstytucji...”. Skromność to, czy....wstyd? Wstyd po uświadomieniu sobie po niewczasie, że i on i Jacek Kuroń dali się wówczas zręcznie manipulować. Że cynicznie wykorzystano, nie po raz pierwszy zresztą i nie ostatni, szlachetność, odwagę i łatwowierność młodych opozycjonistów.

Kolportowano i podpisywano ten protestacyjny „list otwarty 59ciu”, a wszechwładna esbecja jakoś nie przeszkadzała i nie aresztowała kolporterów. Na początku grudnia 1975 list złożony został w kancelarii Sejmu. Po złożeniu w Sejmie list został zlekceważony przez władzę i stało się o nim głośno dopiero po 1 stycznia 1976 kiedy opublikowały go radiostacje zachodnie.

I wtedy lawina ruszyła... 9 stycznia swój list protestacyjny przesłał na ręce Marszałka Sejmu Episkopat Polski; zaraz potem prezesi KIK'ów i redaktorzy naczelni wydawnictw katolickich; 21 stycznia intelektualiści przeciwni konstytucyjnemu zapisowi o wyróżnieniu stosunków Polski z ZSRR (tzw. list 14tu); i wreszcie 31 stycznia przedstawiciele polskiego świata kultury — tzw. list 101.

W oczach społeczeństwa Gierka i jego ekipa okazali się być zdrajcami i sprzedawczykami polskiej suwerenności. „Betony” tryumfowały. Ruskie miały coraz więcej wątpliwości co do sprawności i wierności przywiślańskiej ekipy.

W kilka miesięcy później, w czerwcu 1976 — wybuchają strajki w najwrażliwszych strategicznie miejscach kraju, w zakładach budowy traktorów w Ursusie i w zakładach zbrojeniowych w Radomiu. W Radomiu trwają zamieszki uliczne, dochodzi też (to jednak prawda) do aktów wandalizmu. Powód rozruchów: zapowiedź wyżki cen na niektóre podstawowe produkty żywnościowe. Milicja aresztuje wybrane z tłumu osoby i organizuje tzw. „ścieżki zdrowia” na posterunkach, brutalnie bijąc aresztowanych. Do Radomia jadą warszawscy intelektualiści, by pomóc aresztowanym i ich rodzinom. Zakładają, w sposób jawny, Komitet Obrony Robotników. W tym samym, mniej więcej, czasie tworzą się i na Wybrzeżu załóżki opozycji demokratycznej. Powstają ROPCiO (Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela — marzec 1977) i nieco później Ruch Młodej Polski (lipiec 1979). Już wtedy niektórzy — co bardziej trzeźwo myślący i spostrzegawczy — członkowie KOR sugerowali, że Ruch Obrony może być prowokacją Służby Bezpieczeństwa. W Polsce Centralnej budzi się z pomarcowego letargu dawny moczarowiec, red. Moczulski i najpierw współuczestniczy w powstaniu ROPCiO, a w dwa lata później tworzy latem 1979 Konfederację Polski Niepodległej. Powstają niezależne wydawnictwa i podziemna prasa. Kolportowana jest ona na terenie całej Polski różnymi nielegalnymi i półlegalnymi kanałami, m.in. „spod lady” w kioskach Ruchu, będących przecież — o ironio — własnością RSW Prasa, czyli Komitetu Centralnego PZPR.

Jednym z takich, wydawanych w „drugim obiegu” pism był „Robotnik”. Pierwszy numer ujrzał światło dzienne we wrześniu 1977. Deklaracja umieszczona pod tytułem mówiła, że w piśmie „robotnicy będą mogli publikować swoje niezależne opinie, wymieniać doświadczenia i nawiązywać kontakty z pracownikami innych zakładów”. Celem, jaki stawiał sobie „Robotnik”, była pomoc w działaniach zmierzających do: „solidarnej obrony interesów robotniczych, zwiększenia udziału

pracowników w ustalaniu wysokości zarobków, warunków i czasu pracy, warunków socjalnych i mieszkaniowych, popieranie niezależnych przedstawicielstw robotniczych, które powinny zastąpić martwą instytucję Związków Zawodowych". Brzmiało to dosyć groźnie dla władzy nomenklaturowej, ale wciąż nie było zbyt prowokacyjne ideologicznie. Początkowy nakład pisma: 400 egzemplarzy. Ale już w pół roku później, w maju 1978 nakład pisma wzrósł do kilkunastu tysięcy! Należy uznać to za kolosalny sukces rodzącej się opozycji — szczególnie, że stało się to w państwie o ustroju represyjno — policyjnym.

Uważny czytelnik zauważał, że „Robotnik” staje się też coraz bardziej polityczny. Jacek Kuroń pisał w nim: „Naszym celem jest niepodległość i demokracja. Aby cel ten osiągnąć, musimy wyzwolić się spod radzieckiej dominacji”. I otwarcie rozważał, jak powinien postępować ruch demokratyczny, by cele te przybliżyć, a nie sprowokować radzieckiej inwazji. W innym numerze wspomniano o radzieckiej inwazji 17 września 1939 r., przełamując kolejne wieloletnie tabu.

W kraju wrze... W tym narastającym wrzeniu ktoś jeszcze koncentrował by się na jakiś tam inwestycjach licencyjnych — których zresztą i terminy i koszty są już znacznie przekroczone. Nawet jeśli „umociono” tam miliony dolarów. Przecież nie naszych, bo pożyczonych.

Lato 1980. Olimpiada w Moskwie. Pamiętamy ją głównie z wielkiego, podwójnego sukcesu polskiego sportowca, Kozakiewicza. Bo to i „złoty” skok o tyczce, i wielki sukces medialny gestu zgiętej do sowieckich tłumów ręki mistrza olimpijskiego. Trochę mniejszą wagę przywiązywano wówczas do „gestu” lubelskich kolejarzy, którzy w lipcu, podczas trwania olimpiady, przyspawali do szyn pociąg z żywnością, jadący do olimpijskiej Moskwy.

Wielki Brat był coraz bardziej poirytowany na „agenta Zachodu”, tow. Gierka i jego rażącą nieudolność w zdyscyplinowaniu gospodarki i warcholącego społeczeństwa.

Kropłą przepelniającą czarę stał się jednak sierpniowy strajk robotników Wybrzeża i wyraźna odmowa Gierka użycia siły w jego tłumieniu. Zamiast tego „nieudolny” gensek (ale wciąż wierny danemu dziesięć lat wcześniej przyrzeczeniu niestrzelania do robotników) wysłał do Gdańska swych emisariuszy, by ci negocjowali z buntownikami porozumienie. I wynegocjowali. Nie padł ani jeden strzał, a emisariusz Gierka, wicepremier Jagielski przywiózł do Warszawy porozumienie, zwane potem i do tej pory „sierpniowym”. I traktowane od tego czasu — całkiem zresztą słusznie — jak narodowa relikwia.

Tego jednak było już wschodniemu mocodawcy za wiele. W dzień po podpisaniu porozumień w Gdańsku kraj obiegła wieść, że tow. Gierek miał zawał i leży w klinice, a KC Partii natychmiast wybrało nowego pierwszego sekretarza, tow. Kanię.

Komunikat o poważnym stanie zdrowia Gierka podpisało szacowne grono docentów i profesorów kardiologii (jak się później okazało, nie tylko bez badania pacjenta, ale nawet bez jakiegokolwiek z nim wizualnego kontaktu).

I ten moment możemy uznać za koniec „dziwnej” dekady lat siedemdziesiątych, nazwanej później w pamiętniku Gierka, „przerwana dekadą”.

Tyle moja, jakże ułomna pamięć. Sapere aude!

### **Stanisław Smuga-Otto**

Publicysta. Od 30 lat mieszka w Kanadzie.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 03-03-2013)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8790) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8790>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz  
Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.  
Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)